

OPIEKUN DZIATWY

BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU WĄBRZESKIEGO“

NR. 16

WĄBRZEŻNO, DNIA 25 KWIETNIA 1936 ROKU

ROK 6

Zdobycie wąwozu Samosierra

Napoleon cesarz Francuzów, w roku 1808 prowadził wojnę z Hiszpanami. Walka była trudna. Armja francuska chcąc opanować ziemię hiszpańską, musiała koniecznie przejść wysokie góry. W tem miejscu znajdowała się armja francuska, było tylko jedno przejście — wąwóz Samosierra. Wąwóz ten był przez Hiszpanów mocno ufortyfikowany. Napoleon jednak za wszelką cenę chciał go zdobyć. Szły do ataku pulki francuskie jeden za drugim i zdziesiątkowane wracały. Wtedy Napoleon daje rozkaz Koziętulskiemu — dowódcy szwoleżerów polskich, aby wąwóz zdobył. Szwadron zaszamotał się. Spiętrzyły się ostrogami naciśnięte konie i runęły jak wezbrany potok ku ziejącej ogniem gardzieli, jak lawina, jak burza, ledwie ziemi dotykając kopytami. Jeden koń drugiego napierał, do szalonego niewoląc wyścigu. A z ócz i serc żołnierzy jednak szły ognie, jedna w brwiach była zaciętość, jedna morowość, jeden zapal i myśl jedna. Za ofiarę krwi wrócić do Ojczyzny. Szwadron przesadził rzeczkę w połowie zasypaną ciałami poległych, a w połowie chróstem i wpadł w wąwóz. Bateria hiszpańska, ustawiona na pierwszym jego skrzyśle, sypnęła gradem kul. Sześciu żołnierzy zwałilo się z koni.

— Na armaty, chłopcy! — zawołał Koziętulski, lecz koń jego się zachwiał, bluznął krwią i padł. Szef szwadronu stoczył się pod ścianę wąwozu komendę objął Dziewanowski.

Szwależerowie wpadli na kanonierów hiszpańskich, zanim ci po raz drugi podłożyli lonty. Walka była krótka. Ciała Hiszpanów legły na lawetach. Szwadron pędził dalej, ledwie końcem pałaszów zawadzając o resztki kanonierów. Czego nie dokonały cięcia — tratowały konie.

Gardziel wąwozu za pierwszą baterją zwężała się, tworząc zaciemniony korytarz, a w końcu załamywała się i znów wydłużała, aby po raz trzeci i czwarty zmienić kierunek.

Każdego z czterech załameków bronila oddzielna bateria, zagradzała drogę.

Szwadron pędził naprzód. Stu dwudziestu ludzi rzuciło się na armję, na grad kul, na góry, na skały, na Samosierrę.

Szwadron wojska pędził naprzód, Koziętulski, stoczywszy się z konia, pomimo kontuzji, oczy wznosił błagalnie ku mijającym go żołnierzom i żebrał: — Bracia Towarzysze! Konia!

Nikt go nie słuchał.

Przed drugą baterją padł porucznik Krzyżanowski. W ataku na kanonierów odłam skały uderzeniem w piersi zwałił z konia Piotra Krasinńskiego. Dziesięciu żołnierzy okupilo drugą redutę.

Na trzecim załomie ogień wzmożł się. Piechota hiszpańska strumieniem żelaza zasypywała wąwóz, baterje raziły zajadłe. Kule zrywały szwoleżerom czapy, raniły, zabijały, dziesiątkowały szeregi. Co chwila ktoś zaczynał słabnąć na koniu i zapadał w potok pędzący.

Kompanje mieszały się, plutony brały już podział życia i podział — śmierci.

Wachmistrz Gotartowski, którego kompanja szła druga z kolei do szczytu, znalazł się tuż za Wasilewskim w chwili gdy trzecia bateria, zdążysz do drugiego strzału przygotować, sypnęła żelazem. Salwa była straszna. Snop dymu otulił szwoleżerów. Gdy się rozwał, kanonierzy byli strатовani. Wachmistrz spojrzal przed się i zadrzał. Dziewanowskiego na przedzie nie było. Szum zniknął. Wachmistrz obejrzał się, kula karabinowa musnęła go po ramieniu. Konie z tyłu naparły silniej.

— Naprzód — huczał teraz adjutant Rudowski.

— Naprzód — zawołał nadbiegając z tyłu Niegolewski.

Na górach tymczasem stało się to, czego nikt nie przewidział.

Szczyty Samosierry zakolysały się, szeregi Hiszpanów zachwiała, okrzyk przerażenia dobył się z ich piersi. U jego stóp na krańcu niezdojbytego wąwozu ukazały się białe płaszcze szwoleżerów i pokrowcami okryte ulanki.

Armaty zagwożdżone, z zalanemi krwią zapalami, okryte trupami zwycięzców, umilkły...

Hiszpanie zdumieni się — broń wypadła im z rąk, zmieszali się, złamali karne łańcuchy i, jak fala, spływać zaczęli ze stoków Samosierry i szukać schronienia. Wąwóz został zdobyty.

O co się modlić

Napisała Marja Konopnicka.

A czy wiesz, dziecińco miła,
O co ci się modlić trzeba?
Ot; by ziemia ta rodziła
Dużo zboża, dużo chleba.

O te pszenne, żytnie kłosy,
O len miękkie, o len siwy,
O wieczorne srebrne rosy
Dla tej łąki, dla tej niwy.

O te jabłka na jabłoni,
Co ocienia sady nasze,
O tę cichość porankową,
W której dzwonią piosnki ptasze.

O jaskółek pełną strzechę,
O skowronka na tym lanie,
Tym, co płaczą o pociechę,
Tym, co cierpią o wytrwanie.

Dla tych ramion, co się trują,
Ty, się dziecię, módl o siłę,
Dla rzuconych w stronę cudzą,
O swój krzyżyk i mogiłę.

O to jasne słonko Boże,
Co je chmury skryły w niebie,
A na samym już ostatku
Módl się za mnie i za siebie.

Jak szofer taksówki nr. 236 odprawił swą spowiedź wielkanocną?

Była ciemna noc.

Po ulicach szalała spóźniona wiosenna śnieżycą. W rozwieszono nad środkiem jezdni latarnie sypała garściami lepkiego, mokrego śniegu, który opadłszy na bruk, tworzył olbrzymie kałuże ciemnego błota.

U drzwi kościoła rozległ się cichy jęk dzwonka, porwany natychmiast wyciem gwałtownego wichru. Pochyleny przed podmuchami śnieżycy wyszedł kapłan, trzymając oburącz bursę z Najświętszym Sakramentem. — Drżące światło lampy niesionej przez kościelnego rzucało migotliwe błyski na białą komżę księdza i oświetlało na krótko wirującą płatkę śniegu.

Siedzący przy kierownicy Poreda ocknął się na dźwięk dzwonka z zadumy i lekkiej drzemki, która zacięła prawie przemocą jego znużone bezsennością powieki. Nacisnął szybko guzik starteru, a kiedy motor zawarczał — otworzył przed zbliżającym się księdzem drzwi samochodu, drugą zaś ręką ściągnął z głowy szoferską czapkę.

Właściwie dopiero teraz uprzytomnił sobie, że ma zawieźć księdza z Panem Jezusem do chorego.

Wyprostował się mimowoli, obciągnął kurtkę, a kiedy ksiądz wstępował na stopień drgającego wybuchami motoru auta, przykleknął...

Jakieś dziwne uczucie ogarnęło go. Mimowoli...

Kościelny siedzący obok niego wymienił ulicę daleką, przy której mieszkał chory, oczekujący przybycia kapłana z Najświętszym Sakramentem.

Poreda skinął głową.

Zwolnił hamulec wozu i zaczął włączać biegi i sprzęgło. Jak zwykle.

A jednak — nie jak zwykle!

Coś mu nakazywało te czynności automatycznie wykonywać w tej chwili inaczej. Czuli, że powinien inaczej niż zwykle prowadzić wóz, ostrożniej... nie! — uroczyściej...!

— Czyżby mnie miała jaka katastrofa...? — mruknął.

Nie. Czuli, że to nie przecucie przed katastrofą. Nie. To zupełnie coś innego...

Miał takie wrażenie, jakoby nie prowadził w tej chwili swojego własnego samochodu, swej starej taksówki, którą zarabia na ten codzienny chleb dla żony i dzieci... Zdawało mu się, jakby ten jego „Fiat” stał się w tej chwili czemś więk-

szem: gmachem nieledwie, kościołem — który on, Poreda, szofer taksówki nr. 236, winien prowadzić z takim przejęciem, z jakim kapłan odprawia mszę świętą...!

— Warjactwo! — szepnął, ale czuli, że to nie on wyszeptał to słowo drwiące, że to tylko usta przywykłe w towarzystwie kolegów do lekko-myślnego mówienia o religji, że w jego sercu, Chryste Jezusie!...

Mgłą jakąś niecznością zasłży mu oczy... otarł je palcami zabrudzonymi oliwą — — i jechał.

Z niezwykłą troskliwością omijał wyboje, łagodził zakręty — wydawało mu się, że nawet motor za głośno chodzi.

Wreszcie stanęli na miejscu. — Ksiądz razem z kościelnym poszedł do chorego.

Poreda mechanicznie zgasił maszynę, zgasił reflektory i — czekał.

Z jakimś smutkiem wpatrzył się w ciemną otchłań nocy.

Śnieg przestał padać, wiatr nawet przycichnął, lekki tylko deszcz mżył, rozbijając cichutko kropelki o lustrzaną szybę samochodu.

Poreda dumiał.

Coś jakby żal cichy odzywał się w jego sercu, że się ta jazda skończyła... że ksiądz już wyszedł z samochodu...

Ksiądz?

Nie — raczej... On, którego ksiądz prowadził do chorego, którego miał przez chwilę tu przy sobie...

On — Chrystus!

Coś roztajało w sercu Poredy, coś rozmodliło się w nim...

Obudził go z zadumy szczepek otwieranych drzwi i głos księdza, który mówił do kościelnego.

— Niech pan usiądzie z tyłu; pojedę teraz obok szofera.

Przywitał się uprzejmie z Poredą, który już skierował auto do powrotu.

— Dobrze, że pan ostro jechał. Jeszcze kwadrans, a chory byłby już nieprzytomny — a tak wyspowiadał się i przyjął Komunię świętą...

— ... i jest pewnością szczęśliwy, dodał zadumany Poreda.

Ksiądz spojrzawszy badawczo na twarz szofera, rozświetloną odbłaskiem światła reflektorów, rzucających snopy promieni na drogę. Wyczytał w niej jakiś ból i smutek.

— A pan nie jest szczęśliwy?

— Mój Boże! — wywnęła się westchnieniem z piersi szofera.

Ksiądz pomyślał trochę, wreszcie zapytał:

— Czy pan już odprawił swoją wielkanocną spowiedź?

Cisza na chwilę zapadła po pytaniu księdza. Wzrok Poredy nie odrywał się od drogi, po której pędził samochód. Wreszcie do uszu kapłana doszedł zduszony szepot:

— Ja... już dziesięć lat u spowiedzi nie byłem!

Przez chwilę słychać było szum motoru i przenikliwy szelest opon kół, które rozbijały błoto i żłobiły w niem głębokie brzozy.

— Czemu.

— Proszę księdza! Najpierw to było zaniedbanie, poprostu nie chciało mi się. Potem poburzyli koledzy. A teraz kiedy jeżdżę tą taksówką, to chociażby się i chciało — to i niema czasu. Codzień, niedziela czy dzień roboczy, od rana do wieczora — a jak często i w nocy! — ciągle gonię za kilku groszami... A czasem — to i tych kilku groszy nie zarobię!...

— A pan chciałby się spowiadać!

— Jakże chętnie! Dzisiaj — wie ksiądz — kiedy przed chwilą jechałem z księdzem do chorego z... Panem Jezusem — to... to... coś mi się stało na duszy, że... że... nie wiem, jak to powiedzieć...

Ksiądz, nie myśląc długo, sięgnął po stulę, przeżegnał szofera i szepnął:

— Niech się więc pan teraz spowiada!

Pochylił się w stronę Poredy, a ten z oczami utkwionymi w drogę, po której pędzili, z rękami na kierownicy — — odprawił swą wielkanocną spowiedź.

Była już trzecia godzina po północy, kiedy samochód stanął przed kościołem.

Wypogodziło się już zupełnie. Na niebie między uciekającymi chmurami zaczęły się ukazywać gwiazdy.

Razem z wychodzącym z samochodu księdzem wyszedł również Poreda.

Ksiądz rozbudził kościelnego, który w czasie długiej jazdy zasnął i polecił, ku jego zdumieniu, zapalić świece na ołtarzu.

Po chwili w cichym i pustym kościele ksiądz ubrany w komżę udzielał wielkanocnej Komunii świętej Poredzie, szoferowi taksówki nr. 236.

Czy zwierzęta płaczą

— Ach, jaki śliczny, daj mi go na chwileczkę — wołała z zachwytem Zosia, biorąc z rąk starszego braciszka, Henia, malutkiego i w istocie bardzo ładnego wyżelka.

— Tylko nie ściskaj go tak mocno, — upominał Henio, — bo go zamęczysz, patrz jaką ma smutną minę.

— Dobrze, dobrze, nie zrobię mu przecież krzywdy, mogę go nawet puścić na ziemię.

I Zosia ostrożnie postawiła szczeniaka na ziemi.

Maleństwo podniosło w górę mordczkę i poczęło piszczeć żałośnie.

— Teskni do swojej mamy — rzekła Zosia, głaszcząc ze współczuciem wyżelka.

— E, on się prędko przyzwyczai do nas i zapomni, — odparł Henio, lecz nie masz pojęcia, jak mi żal było Normy jego matki. Gdy tylko przyszedłem do pana Płoskiego, by stosownie do zlecenia wybrać sobie pieska którego obiecał tatusiowi, Norma poczęła się niepokoić i z trwogą spoglądała mi pytająco w oczy.

Obawa jej zwiększyła się jeszcze więcej, gdy zobaczyła, że po kolei biorę do rąk każde z jej szczeniąt i pilnie im się przyglądam.

Zaczęła wyc z cicha i lizać mnie po rękach, jakby mnie o co prosiła.

Zrobiło mi się przykro i postanowiłem przed jej skończeniem. Bez namysłu wzięłem pieska, którego widzisz i zwróciłem się ku drzwiom. Wtedy Norma jednym susem wybiegła z pokoju, a po chwili wróciła, niosąc w pysku pięknie oprawną książkę, którą złożyła u nóg moich. Biedactwo najwyraźniej chciało mi powiedzieć:

— Oto masz piękną książkę, a oddaj mi moje dziecko.

Uciekłem prawie, a gdy się raz jeszcze odwrócił serce mi się ścisnęło boleśnie. Biedna wyżlica stała ze zwieszonym ogonem i spoglądała ku mnie z niewymownym żalem, a ze smutnych oczu lzy spływały.

Zosia z przejęciem słuchała opowiadania brata ostatnie jednak jego słowa przyjęła nieufnie.

— E, Heniu, chyba ci się zdawało przecież zwierzęta nie płaczą!

— Mylisz się moje dziecko, — odparł pracujący przy swem biurku ojciec, który od chwil paru przysłuchiwał się rozmowie dzieci. — Mylisz się sądząc że lzy są tylko własnością ludzi. I zwierzęta płaczą, zauważono to już niejednokrotnie. Ja sam kiedyś z tego powodu ku ziemi opuściłem

wycelowaną lufę mojej strzelby. — Strzelać miałem do sarny, która wyszła na mnie i stanęła zaledwie o parę kroków. Gdy spostrzegła człowieka i broń wymierzoną, straciła przytomność, bo zupełnie nie uciekała, utkwiała we mnie śliczne przepęlnione łzami oczy, jakby mnie błagała o życie i to ją uratowało. Nie miałem odwagi zabić bezbronnego i płaczącego stworzenia. Czytałem też w jednym z pism naukowych, notatki uczonego podróżnika, który opisywał wzruszające sceny, jakich był świadkiem, polując w Afryce na słonie. — Zabito słonia matkę. Naraz do trupa przybiegło kilkumiesięczne słoniatko i z wyrazem bezmiernej rozpaczki biegło naokoło starej, pragnąc dziecianną swą trąbkę unieść do góry. Widząc wreszcie bezskuteczność swych usiłowań, stanęło bezradnie i zaczęło płakać. Nikt z obecnych nie mógł opanować wzruszenia na widok tej boleści przejmującej.

Widziano też płaczące niedźwiedzie i inne zwierzęta, a co do psów, to chyba rzadko kto nie zauważył łez w ich pocziwych, wiernych oczach.

Nieraz nawet drobnostka im lzy wyciska, tak są wrażliwe.

A ja nie wiedziałam i nawet nie przypuszczałam, żeby zwierzęta mogły płakać — rzekła Zosia zdziwiona i zadumana.

POTEGA SŁOŃCA

Ilość wody parującej wskutek działania słońca, wynosi w przybliżeniu 37 miliardów ton na minutę. — Chcąc sztucznie wytworzyć taką ilość pary, potrzebaby zużyć 12 kwadrylonów ton węgla na sekundę. To daje chyba wyobrażenie o potędze słońca.

BOCIAN ŻYJĄCY 25 LAT

Państwowemu Instytutowi Zoologicznemu w Hamburgu nadesłano z Afryki z redakcji dziennika „Sudney Times” (wychodzącego w Transwalu) pierścień obrączkę, znalezioną w roku 1935 na nodze bociana, który skończył tam swój żywot. Pierścień ten był założony w roku 1910, a zatem przed 25 laty temu bocianowi przez stację ochrony ptaków w Rositten w Niemczech. Okazuje się, że bocian ten osiągnął „poważny wiek”, biorąc pod uwagę ilość lat, osiągniętych przez bociany.

BÓG WSZYSTKO WIDZI

Raz pozostał Witek sam w domu z siostrą Marysią. I rzekł do niej:

— Idźmy do spiżarni, najemy się tam dobrych rzeczy, nikt nas nie zobaczy.

— Służąca państwa Bolskich może nas zobaczyć!

— To idźmy do kuchni, tam w szafie jest garnek z miodem!

— Sąsiadka siedzi przy oknie — widzi zatem, co się w kuchni dzieje.

— To idźmy do piwnicy, tam już nikt widzieć nie może! Bo tam jest zupełnie ciemno! — Najemy się jablek! Chodź!

— Nie pójdę — odpowiedziała Marysia, tam jest Pan Bóg. On widzi wszystko. Czy zapomniałeś o tem?

Witek przestraszył się mocno.

— Masz słusność Marysiu, Bóg wszystko widzi!

— Dlatego trzeba zawsze być uczciwym, chociażby ludzie na nas nie patrzyli, — rzekła Marysia.

DESZCZYK

Padal deszczyk długo, długo zaprzyjaźni się z szarugą.

Dniem psocili, no i nocką, teraz z tego wielkie blocko.

A na drodze niby strumień duży ciurkiem — sznurkiem woda płynie Płynie niby strumień duży, szuka drogi do kałuży.

Chociaż przeszła już ulewa Kapałaby tak bez końca.

Jeszcze kapie z dachu, z drzewa lecz wiatr kropole w mig postrąca.

EPIDEMJA ODRY W KONGO BELGIJSKIEM.

Od grudnia ub. r. epidemia odry dziesiątkuje niemowlęta w Kakyelo, na północnym wschodzie prefektury ap. Laupula, powierzonej Salezjanom św. Jana Bosko. W promieniu 35 km. od misji zanotowano 205 wypadki śmierci wśród niemowląt. Dotąd jeszcze nie udało się opanować tej strasznej epidemii.

NASZA GAZETKA

Dobry towarzysz z naszej gazetki. Są w niej obrazki, są w niej bajeczki, Mówi, co było czasy dawnymi.

Co dziś się dzieje na naszej ziemi.

Prawi tak mądrze, prawi tak mile,

Że z nią godziny płyną jak chwile,

Więc też jej słuchać radbym bez

końca

Do nocki ciemnej od wschodu słońca

WYDOBYCIE ZWŁOK ŚWIĘTOBLI- WEGO CHŁOPCA GWIDONA DE FONTGALLAND

W dniu zwiastowania N. M. P. 25 marca rb. w obecności biskupa rządzącego diecezją Valence, biskupa Pic na cmentarzu w Die dokonano wydobycia ciała świętobliwego Guy de Fontgalland, zmarłego w opinii świętości 24 stycznia 1925 r. w dwunastym zaledwie roku życia. Ciało jego jak się okazało pozostało prawie niezniszczone: tylko skóra silnie pociżółkła pozatem wydaje się jakby spał. Obecnie zwłoki spoczęły w kaplicy seminarjum w Valence w departamencie Drome we Francji.

Guy de Fontgalland „mały cud“, jak go nazwał kardynał Cerretti, w krótkim swem życiu odznaczał się niezwykle ufną i wielką miłością do Jezusa, świecąc przykładem czystości, prawdomówności i walki z nielicznymi swymi ułomnościami. Szczególniejszą czią otaczają pamięć jego dzieci, a także alumni seminarjów duchownych (za życia mały Guy wzdychał do stanu duchownego) i kapłani.

NAWRÓCENIE MŁODEGO NA- CZELNIKA NA WYPACH FIDZI

18 stycznia br. ks. Nicolas, wikariusz ap. wysp Fidzi, ochrzcił młodego naczelnika krajowego, który dla przejścia na łono Kościoła Katolickiego wykazał wiele chęci woli i poświęcenia oraz niezwykłą wytrwałość. Będąc, jak zresztą prawie całe plemię, protestantem poprosił jednako o nauczyciela katolika. Wszystko na lepszej już było drodze, ale komisarz europejski począł robić trudności: nie podobał mu się nauczyciel katolik w otoczeniu protestanckim. — Starsi z pośród plemienia otrzymali nakaz zastąpienia katolika nauczycielem - metodystą, lecz rada z naczelnikiem na czele sprzeciwiła się temu, oświadczając, że z nauczyciela katolika jest w zupełności zadowolona i ani nie myśli o tem, żeby go zastąpić kimś innym.

Zapoznawszy się z katolicyzmem, młody naczelnik Ratu Leone Seru opuścił szeregi protestantów, by zostać katechumenem. Wprawdzie różne intrygi i przykrości, których mu nie szczędzono, sprawiły, że naczelnik zrzekł się swego urzędu, ale wytrwał wraz z powziętem postanowieniem i po sześciomiesięcznem przygotowaniu do Sakramentów św. w Cawan, przyjął Chrzest i pierwszą Komunię św.

Czy wiecie, że.. HUMOR

Pierwszy parowóz zbudował Anglik Stevenson.

+++

Najdłużej żyjącymi płazami są żółwie.

+++

W południowych miejscowościach Włoch, zmarłemu do grobu na trumnę wrzucają jego najgorszą własną kapotę. A kobiecie jej własny welon ślubny.

+++

W Japonji łapia ryby za pomocą ptaków, które puszczają pod wodę.

+++

Szkaplerz jest pochodzenia arabskiego. Każdy arab nosi szkaplerz na piersiach, a w niem są zaszyte słowa Koranu lub św. ziemia z Mekki.

+++

Niektóre szczepy murzyńskie w Afryce na znak powitania pocierają nos, o nos zamiast podawania sobie rąk.

Kącik Radjowy

RADJO DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Niedziela, 26 kwietnia: o godz. 14-ej słuchać będziemy „Opowieści żołnierskie“, na dane pod tytułem: Dzięki Ci Matko za Wilno. — O godz. 16-ej ciekawe lamigłównki poddyktuje p. Henryk Ładosz.

Poniedziałek, 27 kwietnia: czeka nas poza audycją dla szkół o godz. 8-ej, — piękny koncert orkiestry mandolinistów p. t. „Z piosenką przez Lwów“ o godz. 16,15; wreszcie o godz. 18,30 usłyszymy ciekawą audycję „Trochę telewizji“.

Wtorek, 28 kwietnia: o 12,15 w ramach audycji dla szkół zastanowimy się nadprawdą starego przysłowia „Smutno niedzieli, — gdy się piątek weseli“; o godz. 16,00 usłyszymy różne pożyteczne wiadomości w skrzynce P. K. O.

Środa, 29 kwietnia: o godz. 16,00 daje nam chór Eryana czarowny koncert piosenek dla dzieci, osnutych na tle ogólnie znanych bajek.

Czwartek, 30 kwietnia: o godz. 12,15 poranek szkolny dla szkół powszechnych; — o godz. 16,00 usłyszymy wesołe opowiadanie dla dzieci: „O tem, jak małpa skubała misia za ogon“.

Piątek, 1 maja: 12,15 audycja dla szkół: „Ojczyzna moja, ty jesteś jak zdrowie“; o godz. 16,15 starsze dzieci pilnie słuchać będą pogadanki „Przyroda w maju“.

Sobota, 2 maja: o 16,20 słuchowisko dla dzieci starszych p. t. „Woda“; o godz. 18,00 w skupieniu wysłuchamy nabożeństwa majowego z Ostrej Bramy w Wilnie.

KARTA POCZTOWA.

U pewnego pana służył chłopiec imieniem Maciuś. Ów Maciuś nie grzeszył zbyt dużym rozumem, wskutek czego zdarzały się nieraz zabawne przygody. Pewnego razu pan posłał Macia do sklepu po kartę pocztową.

— Jaka to karta? — pyta Maciuś; — czy taka z obrazkami?

— Nie! — odrzekł pan i wyjąwszy z teczki zapisaną kartę, którą otrzymał od swego znajomego, wręczył ją chłopcu, mówiąc: — Przynieś taką kartę, jak ta.

Po kilku godzinach pan, zaniepokojony długą nieobecnością chłopca, postanowił iść na miasto szukać go, sądząc, że mu się coś złego stało.

Wiem przychodzi Maciuś, i podając panu zapisaną kartę, mówi ze złością:

— Chodzę i chodzę po sklepach, ale nigdzie nie mogę dostać takiej karty, jak ta! Są, ale niezapisane...

DOWCIPNY CHŁOPCZYK.

Do fryzjera przyszedł mały chłopczyk i prosi o ostrzyżenie. Fryzjer zaczął strzyć bardzo powoli, a kiedy upłynęło pół godziny chłopczyk zapytał:

— Czy jeszcze dużo ma pan do strzyżenia?

— Już tylko włosy nad czołem — objął fryzjer

— To niech się pan pośpieszy żeby tymczasem nie odrosły włosy z tyłu głowy, zanim pan skończy zrobił uwagę chłopczyk.

MILY SYNUŚ

— Tatusiu, mój drogi, kup mi trąbkę!

— Ależ moje dziecko, trąbiłbyś mi tak ciągle nad uszami, że nie mógłbym pracować.

— O nie tatusiu, ja nie chcę przeszkadzać w pracy, będę trąbił tylko wtedy, gdy tatuś będzie spał.

ZNA SIĘ NA POGODZIE.

Więc jutro będzie bardzo ładna pogoda — pytają turyści swego przewodnika wybierając się na wycieczkę w góry, — wy znacie się na pogodzie dobrze prawda?

— O tak, ja się znam, jak mówię, że będzie pogoda to będzie chybaby lato

ROZMOWA Z GŁUCHYM.

Głuchy Bartosz szedł na jarmark z indykiem w koszyku. Spotyka go sąsiad i wita słowami:

— Jak się macie Bartosie?

Ten odpowiada:

— Niesie indora w kosie!

Nachyla się więc sąsiad i krzyczy mu do ucha:

— A jak się ma żona i dzieci?

— Związany, związany — to nie wyleci! — odpowiada Bartosz.